



<http://rein.org.pl>



<http://rcin.org.pl>



# Biblioteka Konstytucyjna

№ 1.

Kazimierz Laskowski.

# Brauning



**Cena 50 groszy,**  

---

*z przesyłką poczt. 2 złote.*

<http://rcin.org.pl>  
Skład Główny w Administracji Książnicy Polskiej: ul. Moniuszki № 8.



# BIBLIOTEKA KONSTYTUCYJNA № 1.

---

---

Kazimierz Laskowski.

# Brauning



INSTYTUT  
DAN, LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-243 Warszawa

tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

Wydawca: **Ludwik Ossoliński.**

1907.

<http://rcin.org.pl>



Warsz. Zakł. Druk., Nowy Świat 21.—Tel. 7681.

<http://rcin.org.pl>



## ROZDZIAŁ I.

### **Anglik w Fisharmonji i zemdlona dama czyli pierwszy wiec w Warszawie.**

Barczysta postać dyrektora Fisharmonji wyprostowała się nad aparatem. Z pasją odłożył słuchawkę, i zdjąwszy binokle, począł je przecierać fularem. Równocześnie myślał:

— Sali chcą te krzykacze! nie można odmówić—a żeby ten Wessel (tu się pośpiesznie przeżegnał) nie porobił tyle głupich zastrzeżeń w tym testamencie, dostalibyście wy salę odemnie! Tę budę akurat na to postawiłem, żeby szumowiny miały gdzie kipieć! już ja-bym wam miejsce na wiec obmyślił! Boże! ileż to trudu, nim człowiek jaki taki grosz w tej sparszywiałej Warszawie wyciśnie — nie dosyć, że nikogo teraz z zagranicy nie można ściągnąć tutaj, tak wszystko tej rewolucji się boi, to jeszcze salę

dawaj hołocie, której nigdy nie zobaczysz w krzesłach, żeby ta buda tysiąc lat stała!..

W dwadzieścia cztery godziny po tym monologu dyrektora na schodach Fisharmonji tłoczył się tłum mężczyzn i kobiet, usiłujących co prędzej dostać się do drzwi wielkiej sali koncertowej. W obszernym westibulu i na zewnętrznych nad podjazdem do przedsionka biegnących schodach było równie pełno i gwaro. Gmach był jakby w oblężeniu. Drzwi jednak szczelnie zamknięte uchylały się coraz rzadziej, na rozkaz jednego z panów ozdobionych komitetową kokardą. Wpuszczano coraz mniej osób, mimo natarczywych żądań publiczności. Panowie z kokardami z czerwono-białej wstążki, pilnujący porządku, sprawdzali bilety wejścia i tłumaczyli nieposiadającym ich, a ciekawym amatorom wiecu, że sala obejmuje tylko określoną liczbę osób, że przyjęli odpowiedzialność przed władzą za bezpieczeństwo zebrania, że muszą unikać natłoku, mogącego spowodować wypadek. Publiczność pchała się wciąż, wymyślała panów z kokardą, i coraz to nowe fale wiecowników napływały z bocznych, strzeżonych przez kawaleryjskie patrole ulic.

....., ..  
.....

Dnia tego o dziewiątej rano, zatem na dobre trzy godziny przed terminem na rozpoczęcie wiecu naznaczonym, zjawilo się przed drzwiami gabinetu dyrektora dwóch panów. Wyższy, ubrany w elegancki ulster z przewieszoną przez ramię torebką podróżną, tęgi i barczysty mężczyzna o twarzy gładko wygolonej, rozglądał się ciekawie dokoła bystrem spojrzeniem szarych sympatycznych oczu; niższy, mniej elegancko ubrany, interpelował służącego o audjencję u pana dyrektora.

Natarczywe dosyć żądanie, poparte wędrowną srebrnego rubla do obszernej kieszeni óżentelmena w ciemno-czerwonym liberyjnym fraku, poskutkowało. Służący, zameldowawszy, otworzył drzwi gabinetu.

Dyrektor oczekiwał, stojąc.

— Jestem Lohman — zaczął niższy — korespondent „Standarda“, a to jest — dodał, wskazując na towarzysza — sir Algernon Percy, specjalny korespondent politycznej „Daily Mail“ i pism amerykańskich. Chcieliśmy być na wiecu i prosimy pana o bilety.

— Bardzo mi przyjemnie, ale nie mogę panom służyć. Bilety wydaje komitet urządzający.

Lohman przetłumaczył swemu towarzyszo-  
wi tę odpowiedź, na co otrzymał kilka słów  
z naciskiem.

— Pan wybaczy — rzekł znów Lohman —  
sir Algernon nie włada innym językiem, prócz  
angielskiego. Prosi o objaśnienie, gdzie jest  
ten komitet wiecu?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem; ja od-  
dałem tym panom tylko salę na wiec; ale w ka-  
żdym razie panowie się spóźnili, bo biletów już  
wczoraj zabrakło. Miejsce ograniczone—wszyst-  
kie bilety rozdane.

Sir Algernon z gościów dyrektora dorozu-  
miał się treści i powiedział do Lohmana znów  
kilka słów po angielsku.

— On mówi — zaczął Lohmann — że zapłaci  
podwójną cenę.

— Ależ ja nie sprzedaję biletów! — zaperzył  
się dyrektor.

— Potrójną damy, zaraz placimy — ciągnął  
niezrażony Lohman, wyjmując portfel.

— Możesz pan dawać i stokrotną nawet! —  
huknął dyrektor, wyprowadzony już z cierpli-  
wości.—Powtarzam panu: biletów niema! a zresz-  
tą rozdają je darmo!

— Kto rozdaje? gdzie? — pytał Lohman dalej.

— Teraz już nikt, bóg wszystkie rozdane! Ale rozdawano wczoraj! Brał, kto chciał!

Sił Algernon zaczął mówić szybko i dobitnie, powtarzając z naciskiem jakiś jeden wyraz.

— Proszę pana — rzekł znowu do dyrektora Lohman — niech się pan nie rzuca, tylko niech pan wymyśli jakie bilety. On powiada, że muszą być. On jest korespondent bardzo ważny, ja też jestem ważny korespondent, on tam musi być, i to jest niesłychana rzecz, żeby nie było miejsca dla korespondentów, co przyjeżdżają z drugiego końca świata w celu pisania o tem, co się tu dzieje. On jedzie prosto z Persji, on był w Mandzurji na wojnie, on mówi, że on wejdzie bez biletu, jeżeli niema biletu.

Dyrektor zrospaczony rozkladał ręce i podnosił brwi przez czas tej przemowy. Nagle, gdy Lohman skończył, trzasnął palcami i zawołał:

— Bez biletu! prawda! możecie wejść bez biletu! każę panów wpuścić! ale musicie iść zaraz i czekać w sali parę godzin.

Lohman szybko przełożył towarzyszowi te słowa.

— Yes, all right! — odrzekł tamten, wzruszając ramionami.

Tym sposobem, zasiadłszy już o dziewiątej wygodne miejsca na galerji, tuż nad estradą, znaleźli się obaj synowie Albionu na wiecu.

W miarę, jak wypełniała się sala zmozaikowanym tłumem publiczności, dążącej na pierwszy ten wiec w Warszawie, dwaj Anglicy rozglądali się ciekawie. Sir Algernon co chwila zadawał swemu towarzyszowi jakieś zapytania i notował szybko jego objaśnienia w małej, w zielony saflan oprawnej książeczce.

Z trybuny poczęły płynąć mowy jedna za drugą. Anglicy, z których jeden nic, a drugi niewiele rozumiał, siedzieli, jak na niemieckiem kazaniu. Percy przyglądał się wyrazowi twarzy różnych osób i próbował charakterystyczniejsze głowy szkicować, co szło mu wcale udatnie. Nagle szturchnął łokciem swego towarzysza, i pokazawszy mu na przeciwległej galerji grupę osób, odróżniających się wyrazem twarzy od reszty, zapytał go, co to za jedni.

Lohman, który przedtem wskazywał mu robotników, wybitniejszych mówców, przemy-

słowców i inne ważniejsze osoby, przyjrzał się uważnie i uśmiechnął lekko.

— To są opiekunowie publiczni—rzekł półgłosem.

— Not understand. Co to za urząd?—rzekł Percy.

— Przyjrzyj się dobrze, sir, tym ludziom. Widzisz, jak im tutaj nieswojo, oglądają się na drzwi, jakby się chcieli wymknąć, a przecież siedzą. Trzyma ich obowiązek, a wypędza obawa i przerażenie. Patrz, jak oni słuchają tych przemówień ognistych. Patrzą ze zgrozą na mówców i ze strachem, że mówią rzeczy tak śmiało, a ile razy publiczność zaszumi uznaniem, albo przykłaśnie mówcy, ściągają brwi, jakby chcieli krzyknąć: „karaul!“ Oni tu nie przyszli z ochoty! Domyślasz się pan, co to za ptaszki?

— The detectifs?! to chyba tajna policja?— odrzekł zainteresowany Percy.

— Naturalnie. Przysłano ich tutaj, żeby wiedzieć, co mówiono, a szczególnie: kto mówił, i kto przyszedł słuchać!

Sir Algernon jął się ciekawie agentom przyglądać. Odwrócił w swym notesie kartkę i począł szkicować. Natarczywość, z jaką co chwila



spoglądał na nich, przykładając do oczu małą kieszonkową lornetkę, zwróciła nareszcie uwagę podejrzliwie naokół śledzących argusów. Poczuli mu się przypatrywać zpod oka, zamieniwszy między sobą nieznacznie kilka wejrzeń porozumiewawczych.

Spostrzegł to zaraz i Lohman, dość obeznanym ze stosunkami miejscowemi, i miał właśnie zwrócić uwagę towarzyszowi, gdy tuż obok ich ławki, w drugim wyższym rzędzie siedzeń, rozległ się stłumiony krzyk kobiety.

Obaj Anglicy i inni słuchacze odwrócili się żywo.

Jakaś młoda, elegancko ubrana dama, zemdlała. Cucił ją sąsiad, prawdopodobnie znajomy, bardzo zaambarasowany wypadkiem i oglądający się wkoło niespokojnie.

Sir Algernon zamknął spokojnie notatnik wsunął go do kieszeni, poczem również spokojnie sięgnął do przewieszanej przez ramię torebki, i wyjąwszy zeń spory kryształowy flakon, podał go młodemu człowiekowi, usiłującemu przyprowadzić do przytomności swą towarzyszkę, przyczem przemówił coś do Lohmana.

— To woda kolońska — rzekł tenże — weź pan, może to pani pomoże.



Młody człowiek wziął flakon, dziękując śpiesznie za pomoc, i po skropieniu wodą kolońską twarzy zemdlonej kobiety, flakon zwrócił. Środek podziałał skutecznie. Młoda dama otwarła oczy i podniosła się z wpeł leżącej pozycji, ale spojrzawszy przed siebie, drgnęła nerwowo, i chwyciwszy mocno dłoń swego towarzysza, szepnęła:

— Wychodźmy stąd! Wychodźmy jaknajprędzej!

Wypadek zrobił trochę nieuniknionego w takich razach zamieszania. Z chwilą jednak, gdy jego bohaterka odzyskała przytomność, nikt się nie zdziwił, widząc, iż opuszcza salę, wsparta na ramieniu sąsiada.

W tej chwili powstał też i sir Algernon.

— Mam zupełnie dosyć tego meetingu, dear Lohman — rzekł, prostując się. — Jestem głodny. Codźmy na lunch.

To mówiąc, ruszył ku drzwiom, przeciskając się spokojnie, lecz stanowczo przez stłoczoną cizbę słuchaczy. Wśląd za nim, biorąc na siebie niezadowolenie ich i niezbyt grzeczne uwagi, a nawet czynne reklamacje łokciowe od właścicieli nadeptanych nagniotków, szedł posłuszny Lohman.

Na zewnętrznych, frontowych już schodach spotkali Anglicy młodą parę, która wyszła przed nimi.

Tłok był tam prawie taki sam, jak w sali, gdyż ci, których nie wpuszczono wewnątrz, wiecowali przed gmachem, obsiadłszy nawet rusztowania budowanego naprzeciwko wielopiętrowego domu.

Anglicy zatrzymali się moment. Młoda para stała, oglądając się z zakłopotaniem wkoło.

Nagle towarzysz damy wypuścił jej rękę spod swego ramienia i z wyrazem determinacji podszedł ku Anglikom.

— Panowie — zaczął z ukłonem — czy nie raczylibyście oddać nam pewnej przysługi? Towarzyszka moja zasłabła i musi się udać do domu. Nie mogę jej odprowadzić, gdyż ważny obowiązek zmusza mię tutaj pozostać. Czy nie zechcielibyście mię w tym wypadku zastąpić? Okazaliście przed chwilą uprzejmość, która ośmiela do tej prośby...

Lohman słuchał nieco zdziwiony, przetłumaczył jednak prośbę młodzieńca swemu towarzyszowi, który natychmiast skłonił głową, unosząc sztywno kapelusz.

— Mój towarzysz jest obcym tutaj — rzekł Lohman — ale zgadza się chętnie.

Oczy obojga młodych ludzi zabłyśły zadowolaniem. Nastąpiła pośpieszna prezentacja, z której nic prawie nie zrozumieli Anglicy, poczem sir Algernon podał ramię młodej damie i wraz z Lohmanem poczęli schodzić na dół. Interlokutor ich ulotnił się momentalnie.

Gdy przebiwszy się już przez ciżbę, doszli do ulicy Moniuszki, przed wystawą kantoru Książnicy Polskiej dama zachwiała się nieco.

Trudno mi iść jeszcze — szepnęła po angielsku do Percego, posyłając mu równocześnie zabójcze spojrzenie pięknych, czarnych oczu.

— Odwieziemy panią — rzekł Anglik, mile zdziwiony.—Jak to dobrze, że znasz pani nasz język! Lohman! zawołaj na keb!

Warszawski keb, vulgo drynda, tym razem dwukonka na gumach — z czego zdawała się być bardzo rada dama — podjechała na skienienie natychmiast.

— Gdzie ma jechać woźnica? — spytał Percy gdy się usadowili.—Wskaż pani adres.

Dama obejrzała się jeszcze ku Fisharmonji i nagle, zwracając szybko głowę, zawołała do stangreta:

— Prosto przed siebie! Pięć rubli, jeśli nas nikt nie minie!

Dorożkarz pochylił się na koźle, zrozumiałszy dziwny ten rozkaz, i powóz pomknął jak wypuszczony samochód w Jasną ulicę, unosząc młodą kobietę, rycerskiego sir Algernora i wytrzeszczającego oczy ze zdziwienia Lohmana.

## ROZDZIAŁ II.

### „Czort woźmi — uszła!..”

W chwili, gdy odjeżdżała szparko trójca świeżych znajomych w kierunku Jasnej ulicy, przez zgromadzony przed Fisharmonją tłum przecisnęło się znowu dwóch mężczyzn w ciemnych paltotach z podniesionemi kołnierzami, w naciśniętych głęboko na oczy kapeluszach miękkich.

Na widok odjeżdżającego powozu, jeden z nich, krępy, o twarzy ospowatej, ryżawy blondyn, poskoczył do najbliższej dorożki. Ale drugi, szczupły i wyższy, zawiedły o mętnych oczach jegomosc, powstrzymał go za ramię.

— To ona! odjeżdża przecież — nie widzisz? — zatrzepał prędko przyciszonym głosem ryży.

— Pust' jediet! gdzie ją będziesz gonił w biały dzień? — zwarjował ty, czy co?

— Ano, cóż to przeszkadza? Ją złapać—pewna nagroda!

— Da, nagroda! a ona sama pojechała? co? ty nie widział? Ich troje tam wsiadło! Pojedziesz, pogonisz — skręci także gdzie na pieretułku, a dojdiesz, to ci w łeb plunie, nim się opatrzysz! U nich tam instrument jest na pewno! Ich troje! Wot co!

— Ha! nada było zrazu zadierzać! — westchnął ryży, patrząc za niknącym w oddali powozem.

— Durny ty! — rzekł chudy. — Zadierzać?! a gdzie jeja było zadierzać? Tam, na wierchu, ili tu na dole? A ty nie widieł, jak wszędzie raboczych pełno? Zadierzać! Skandal! tolko-by zdiełał — ona-by uszła, a nam patom wygowor! W konce koncow, ja i nie znaju: arestowat'-li takuju swołocz, ili niet? Tiepier drugoje wremja! czort znajet!

— Wsio taki, dokład naczalniku zdat' nada!

— Aa? dokład? A ty zamietił nomier zwoszczyka?

— Jakże miałem zauważyć! Odjechali tak prędko — nie czekali na nas, psiekrwie!

— At! eto uznat' można! — rzekł chudy, pod-

chodząc do szeregu dorożek, stojących w ulicy Moniuszki.

— Czy to ty ze mną tutaj przyjechał, mój przyjacielu?—rzekł do pierwszego woźnicy.

— Nie—rzekł dorożkarz.—Ja tu dwoje państwa przywiózł.

Chudy spojrział po innych dorożkach.

— Tak, prawda, to nie ten — rzekł głośno do ryżego. — Tamten miał jednego konia siwego. Ale gdzie on się podział? Miał czekać na nas — nie zapłaciłem mu.

— Ten, co ma siwego wałacha, to już z jednym państwem pojechał—rzekł dorożkarz.— On tu stał przedemną. Musi, poczuł dobrych gości, abo się nie spodziewał, że zara panowie wyjdą. Mogę ja odwieźć?

— Ale ja mu nie zapłacił jeszcze! miał dostać z powrotem — oponował chudy.

— O wa, spotka go pan jeszcze, spotka! Gumowe derużki łącno poznać przecie!

— A jaki ma numer? żeby ja to chociaż wiedział.

— Numer to on czterdziesty. A po siwym koniu to go pan zaraz pozna! Staja na Brackiej, wedle Śpitalnej. A ja panów odwiezę!



— At, piechotą już pójdziem! dziękuję tobie, kochanku! — to mówiąc, wykręcił się chudy na pięcie i pociągnął ryżego,

— Ano, tiepier poiszczym. Zwoszczyka nado pozwat' w uczastok — mówił, kierując się w Świętokrzyską, w której obaj zniknęli niebawem.

. . . . .

Tymczasem piękna nieznajoma i jej dwaj przygodni towarzysze przejechali Jasną, Zielony Plac, Erywańską i dojeżdżali już do pałacu Kronenberga, gdy piękna nieznajoma kazała stangretowi jechać przez Królewską i Marszałkowską na Koszykową.

— Dziwi panów, że kołujemy, zamiast jechać prosto? — rzekła do towarzyszy. — Ale miałam inny zamiar początkowo.

— Jesteśmy zupełnie na pani rozkazy — rzekł Percy.

Dama uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Umiem to ocenić. Czy panowie Warszawy nie znacie? Jesteście obcy?

— Mój towarzysz mieszka tu od paru lat. Koresponduje stąd do Londynu. Ja jestem w Warszawie pierwszy raz. Przybyłem w nocy o pierwszej minut czterdzieści.



— Z daleka?

— Z Teheranu, pani.

— Nieznajoma bacznie spojrziała na szeroką i spokojną twarz sir Algernona.

— Pan tam mieszka? — spytała.

— Nie, miss. Jeździłem badać stosunki. Jestem także korespondentem. Zajmuję się polityką specjalnie. Tu przyjechałem, żeby zobaczyć waszą rewolucję, wasz ruch.

— Nasz ruch...! — szepnęła nieznajoma, zamysławiając się na moment.

— I co pan sądzi o tym naszym ruchu?

— Przyjechałem w nocy o godzinie...

— Pierwszej minut czterdzieści! — przeproszam pana — zawołała, śmiejąc się dźwięcznie. Zapomniałam o tem, że nie miał pan jeszcze czasu widzieć cokolwiek. Gdzie pan mieszka? Czy mieszkacie panowie razem? Zabawi pan tu długo? Dlaczego wyszliście panowie tak prędko z wiecu?

Sir Algernon spojrział na nią ze zdumieniem.

— Miss — rzekł wolno — ja umiem odpowiadać tylko na jedno pytanie naraz.

Nieznajoma wybuchnęła śmiechem.

— Tak, ma pan rację, ale proszę się o to

nie gniewać. To nasz narodowy zwyczaj pytać o wszystko jednocześnie.

— Zwyczaj nerwowy.

— Ha, czasy teraz nerwowe, panie... przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska?

— Algernon Percy, a towarzysz mój nazywa się Frank Lohman. Ale i ja nie dosłyszałem pani imienia.

— Nie spaniętasz pan pewnie. Nasze nazwiska polskie trudne. Nazywam się Irena Luborzycka.

— Tak, to trudno wymówić i spamiętać. Pani mi zapisze — rzekł Percy, podając jej notatnik.

Na twarzy Ireny odbiło się błyskawiczne zakłopotanie. Ale w tej chwili uśmiech swywolny rozjaśnił jej rysy, wzięła safjanową książeczkę, i napisawszy w niej parę słów, zamknęła i oddała. Anglik podziękował i schował notes do kieszeni.

— Nie odpowiedział mi pan na żadne jeszcze pytanie — rzekła, patrząc na niego z przechyloną główką.

— Służę po kolei. Najpierw, gdzie mieszkam. W hotelu Bristol—przez czas mego tutaj pobytu, razem z Lohmanem, który jest łaskaw

być moim przewodnikiem. Mówię tylko po angielsku i rozumiem francuski język, więc taka pomoc konieczna. Zresztą on tu zna wszystko, jam obcy zupełnie. Zabawię w Warszawie, dopóki nie wyczerpię materiału miejscowego dla moich korespondencji. Przypuszczam — parę tygodni.

— A dlaczego wyszliście panowie z wiecu, nie czekając końca—pytała dalej Irena.

— Mało interesujący był ten meeting. Nie znam polskiego języka. Wiedziałem od Lohmana, o czym mówią i mają jeszcze mówić. Zresztą, chciałem jeszcze panią zobaczyć.

— Mnie?

— Tak, miss.

— To komplement?

— Nie uznaję zwyczaju mówienia kobietom komplementów.

— Więc zainteresował się pan moją osobą? Ach tak! z powodu mego omdlenia.

— Nietylko z tego powodu.

— Z jakiegoż innego?

— Nie wiem w tej chwili...

— A kiedy się pan dowie? — zapytała z lekkim odcieniem ironji.

— Także nie wiem. W wolnej chwili zasta-

nowię się nad tem, co w pani zainteresowało mię żywiej.

Irena z uśmiechem patrzyła na wymijające ich szybko dorożki i prywatne eleganckie powozy. Nagle stangret skręcił w Koszykową. Obejrzała się bystro i uśmiech znikł z jej ust.

— Skorzystam z pańskiego usposobienia — rzekła powoli, patrząc Percy'emu przeciągle w oczy. — Zdaje mi się ono rycerskie; więc jako dżentelmeni, nie pytajcie mię o nic, nie dziwcie się niczemu panowie i pozwólcie mi robić, co zechcę. — Zastosujcie się nawet do tego.

Percy podniósł rękę do kapelusza.

— Raczy pani rozkazywać, nie krępując się niczem — rzekł dobitnie.

— A więc dobrze. Wysiadamy. Oto pięć rubli, dasz je pan dorożkarzowi. Płacę sama, ale oszczędzam pańską drażliwość, czyniąc to przez pańskie pośrednictwo. Pan Lohman wróci na Marszałkowską, wsiądzie w tramwaj, koniecznie w środku, i pojedzie, gdzie zechce. Za godzinę możecie się panowie spotkać w hotelu. Pan wysiadzie ze mną. Pójdziemy piechotą. A więc — stop! stój! — zawołała do dorożkarza.

Wysiedli. Lohman był niezupełnie z dyspo-

zycji kontent, ale na znak Percy'ego oddalił się. Irena weszła w pierwszą bramę z sir Algernonem i patrzyła za jego towarzyszem, póki nie wskoczył w przechodzący tramwaj. Potem poszli dalej Koszykową. W bramie wyjęła jeszcze z kieszeni czerwoną gazową woalkę i zrzęcznie obwiązała sobie nią kapelusz, zasłoniwszy przytem twarz. Skierowali się do stojącej dorożki; wsiadła w nią razem z Algernonem i kazała jechać w Ujazdowskie Aleje. Przez drogę milczeli. W Alejach zatrzymała dorożkę przed wejściem do parku, podała znów Algernonowi monetę, by nią za kurs zapłacił, poczem wzięwszy go pod rękę, weszła do parku.

Pusto tam było prawie zupełnie.

Warszawa kipiała po prostu. Rozbudzone nadzieje, pozory reform, złudzenia, którym zawsze poddajemy się tak chętnie, pulsowały w całym mieście, budząc i szerząc gorączkowe życie, nieznanym ruch wszystkich warstw społecznych. Zebrania polityczne, pochody, mowy — odbywały się wszędzie. W całym mieście wrzało, jak w garnku ukropu przysuniętego do ognia. Atmosfera strejków i rozruchów zawisła nad niem.

W przeciwieństwie do tego pusto i cicho

było w wyiudnionych późną jesienią parkach i ogrodach miejskich. Wiatr przewalał tylko kupy żółtego, zeschniętego listowia, gwizdał po nagich gałęziach i zmiatał piasek w pustych ulicach.

Irena, rozglądając się bystro, szła z Percym w kąt parku, za staw i mostek, gdzie na małym sztucznym pagórku, ukryte w gęstych krzewach, stoją znane dobrze czułym parom, szukającym samotności, ławeczki.

Dotarłszy tam, usiedli.

Na twarzy młodej i dziwnie pięknej kobiety rysy poczęły się nagle zmieniać, jakby prostować. Spadł z nich ten wyraz interesującej kokieteryj i uprzejmy uśmiech, które przywołała tam chwila oryginalnej a dopiero co odbytej przejażdżki z obcymi ludźmi. Usta się ściągnęły, oczy przymknęły do pół, cała postać przyległa do oparcia ławki, jakby w chwilowym wypoczynku. Ale na czole, prócz wyraźnego znużenia, znać było pracę skupiających się myśli, ślady rozwagi, namysłu.

Percy milczał, patrząc przez gałęzie na czerwone dachy sąsiedniego Ujazdowskiego szpitala. Minęło tak z kwadrans.



Naraz panna Luborzycka wyciągnęła doń rekę.

— Nie podziękowałam jeszcze panu za jego grzeczność—rzekła, nie podnosząc oczu. — Czynię to teraz, wierzaj pan — bardzo serdecznie i szczerze.

Anglik zwolna uściskał podaną sobie drobną i ciepłą dłoń.

— Obowiązek gentlemana było mi tym razem bardzo miło. wypełnić — rzekł, zginając nieco swą wyniosłą postać.

— Był pan poprawnym, jak rzadko bywa mężczyzna. Jeszcze raz dziękuję — i do widzenia.

Sir Algernon zatrzymał jej rączkę.

— Pani chce odejść już sama, czy też żąda, bym ja ją opuścił? — zapytał.

— To drugie będzie lepsze — odparła. — Wrócę później do domu -- a mam jeszcze do załatwienia drobne, kobiece sprawy.

Anglik podniósł głowę.

— Odejdę, skoro pani rozkaże, bo przyrzekłem być jej posłusznym. I dlatego zupełnie niepotrzebnie mówi mi pani, jakie sprawy ma jeszcze załatwić.



Na twarz młodej kobiety wybiegł delikatny rumieniec.

— Dlaczego pan moje słowa podkreśla?

— Bo im nie wierzę — a to było niepotrzebne.

Teraz żywo obróciła ku niemu twarz i podniosła woalkę. W rysach widać było chwilowe zakłopotanie, ale oczy śmiałe i pewne oparła indagująco na siwych, otwartych oczach Anglika. On wytrzymał spokojnie to spojrzenie, którem uderzyła go wprost, jak świecącą klingą.

— Pan domyśla się — zaczęła zwolna — że jestem...

— Kobieta, która potrzebuje od czasu do czasu usługi mężczyzny. Sądzę, że każdy mężczyzna czuje się wówczas szczęśliwym, jak ja się w tym wypadku czułem. Zresztą zupełnie nie obchodzi mnie, czem się pani zajmuje, i nie starałem się tego domysleć.

— Jednak przed chwilą...

— Nie trzeba mieszać pojęć. Za inteligientna mi się pani na to wydaje. Dlatego nie chcę, żebyś mówiąc ze mną, uciekać się pani miała do niepotrzebnych wybiegów. Jesteś panią swoich czynności, a tłumaczysz się przedemną. POCO?



Zwolna odwróciła głowę.

— Dziwnie prosty człowiek pan jesteś.

— Nie wiem tego. Ale odchodzę. Proszę mi powiedzieć, kiedy panią będę mógł widzieć znowu?

— Zależy panu na tem? Nie sprzykrzyłam się jeszcze?

— Zadaje pan kobiecie pytania. Powiedziałem pani przecież: interesuje mię pani bardzo.

— To niezupełnie jeszcze wystarcza.

— Dla mnie zupełnie. Nie powiedziałem pani przecież, że podobasz mi się...

— Nie podobam się więc?

— U nas chodzi się czasem za kobietą, która się podoba, ale idzie się zawsze do tej, która interesuje.

— Bardzo piękny zwyczaj! — zaśmiała się Irena. — Ale czy z tego mam wnosić, że pan pragniesz naszą chwilową i przygodną znajomość na serjo przedłużyć?

— Pragnę ją utrwalić, pani — rzekł Percy, i wstawszy, zgiął się w sztywnym nieco, ale niskim ukłonie.

Ona również powstała, poważna i zakłopotana.

— Oceniam zupełnie pańskie słowa i za-

chowanie się — rzekła po chwili. — Sprawily mi one nawet, mówiac szczerze, duza przyjemnosc. Ale panie Percy: ja nie jestem wolna...

— Pani ma męża?

— Coś ważniejszego, większego, potężniejszego, niż mąż! Czas mój, moja praca, życie moje należą do pewnej sprawy, którą pokochałam i której oddałam się dobrowolnie.

— Rozumiem. To nie przeszkadza. Ta sprawa na tem zyska. Zamiast pani jednej, będzie miała na swe usługi nas dwoje.

Irena zdumiona spojrzała na niego.

Twarz jego była zupełnie spokojna, ale w siwych oczach i zarysie ust malował się wyraz determinacji stanowczej i nieugiętej. Twarz to była ujmująco otwartą i szczerą, w rysach zapowiadała energię, praktykę i siłę.

— Panie Percy — pan widzi mnie po raz pierwszy w życiu.

— I rozmawiam z panią godzinę. Wystarczy mi. Powtarzam jeszcze raz co myślę, chcę iść za panią, poznać cię jeszcze lepiej i służyć ci. Wtedy ty poznasz mnie, i wówczas może cię zdobędę.

Młoda kobieta przetarła dłonią oczy. Mil-

czała. Milczeli chwilę oboje. Percy w postawie pełnej szacunku czekał na odpowiedź.

— Niepodobna krążyć wciąż w domyślnikach — zaczęła wreszcie Irena. — To, co mi pan powiedział, jest po prostu nieco oryginalną, ale bardzo uczciwą propozycją małżeństwa.

— Tak, pani — potwierdził Percy.

— Niepodobna krążyć w domyślnikach dalej, powtarzam. Dziękuję panu za jego słowa i odpowiadam szczerze. Należę do spisku — jestem ściganą — los mój niepewny — nie mogę go z nikim dzielić!

— Wiem o tem wszystkiem. Domyśliłem się z pani słów. To nie przeszkadza. Tem więcej mogę ci być pomocny i chcę dzielić z panią niebezpieczeństwo.

— Dla obcych panu celów?

— Dla pani, dla siebie — te obce cele zyskują tylko silnego człowieka.

— Zgoda. Ale ja panu dziś nic przyrzec nie mogę.

— Nie trzeba. Pozwoli mi pani tylko poznać się, widywać często, pracować razem.

— Zgoda. Będę szczerą i powiem, że robię to przedewszystkiem w nadziei, że zyska na tem sprawa, do której duszą i ciałem na-

leżę. Pan — jest mi sympatyczny. dotychczas. Ale dosyć tego. Dłużej nie możemy tu zostać. Zawiadomię pana w hotelu, gdzie i kiedy będziesz mię mógł widzieć. Teraz pójdziesz pan prosto do wyjścia; wsiądziesz w drożkę, powiesz woźnicy „hotel Bristol!“ i pojedziesz do siebie. Jutro przyrzekam wiadomość.

— Jedno słowo jeszcze. Czy w tej chwili nic pani nie grozi?

— Teraz już nic. Tam na wiecu dojrzałam agentów tajnych. Udałam zemdlenie, by wyjść. Zdaje się, że i oni wyszli. Ale umknęliśmy im doskonale. Tu bezpiecznie, a o parę kroków stąd zmienię ubranie, i nikt mnie nie pozna. Zresztą teraz — nocny kurs u nas! No, idź pan!

— Sir Algernon uścisnął małą rączkę, i oddawszy niski ukłon, sztywno i prosto, spokojnie poszedł ku wyjściu.

Irena patrzyła za nim chwilę. Gdy zniknął, potrząsnęła głową.

— Dziwnie! — szepnęła do siebie. Poczem zręcznie i lekko poczęła schodzić drugą stroną.

Za chwilę wmieszała się pomiędzy przechodniów w ulicy i zniknęła wśród nich.

### ROZDZIAŁ III.

#### **Policjant w matni.**

Nazajutrz Frank Lohman w najlepsze przeciągał się jeszcze w pościeli, gdy sir Algernon, już ubrany, zaproponował mu, żeby raczył wstawać.

— Dziesiąta godzina dopiero — oponował Lohman. — Wróciliśmy tak późno!

Istotnie wrócili już prawie nad ranem. Lohman, spotkawszy nareszcie swego amfitrjona, zapoznawał go z Warszawą, a ponieważ z powodu nieznamomości Percy'ego polskiego języka, teatr żadnej mu nie obiecywał rozrywki, zaszli więc do Alexandryny, stamtąd do Europejskiego hotelu na kolację, która przeciągnęła się do godziny trzeciej.

Ale nie było to dla Percy'ego dostatecznym powodem, by zasypiać w chwili, gdy oczeki-

wał wiadomości od „niej“. Spokojny i zrównoważony Anglik zapłonął na dobre do pięknej i eleganckiej Polki, owianej w dodatku jakimś urokiem niebezpieczeństwa i okoliczności tajemniczych a sensacyjnie ciekawych.

Opozycja Lohmana przeciwko pośpiechowi w opuszczeniu ciepłego łóżka przebrzmiała bez skutku. Sir Algernon był nieugięty i groził śpiochowi tuszem z zimnej wody. Po tem delikatnem przedstawieniu, Lohman rad nie rad opuścił posłanie.

— To wszystko przez tę przekłątą brunetkę! — mrucał, ubierając się. — Żebym ja był chociaż na chwilę przypuścił, że pan się zajmiesz czemś podobnem! Przecieżbym nie laził na ten wiec, na który nawet biletów dostać nie było można!

— Słuchaj Frank! — rzekł Percy — jeżeli będziesz się niegrzecznie o tej miss wyrażał, powiem w Londynie, że się zaniedbujesz w korespondencji!

— Tego nie powiesz, sir! Wiem o tem dobrze! Przyrzekłem ci być punktualniejszym.

— Jeśli myślisz o niepotrzebnych rzeczach, jak naprzykład o wyszukiwaniu dla kobiet niegrzecznych przydomków, to tracisz czas i nie



możesz być punktualnym. Nie rób tego Frank: to nie twój business!

— No, nie wiem, kto z nas dwóch myśli o niepotrzebnych rzeczach! i czyj to ma być business narażać się na podejrzenia tajnej policji dla kobiety, której nazwiska nie wie się nawet!

— Ja kpię sobie z podejrzeń tajnej policji: uważasz Frank? Jestem obywatelem Wielkiej Brytanji, którego takie podejrzenia nawet obchodzić nie mogą! A co do nazwiska miss Ireny, to nie pamiętam go, ale mam zapisane.

— A, prawda! ona sama zapisywała. Jakże się nazywa?

Percy wyjął z kieszeni notatnik i wynalazł w nim kartkę, na której miała Irena napisać swoje nazwisko.

— Ach! — jęknął, spojrzawszy, i zaczerwienił się nagle.

— Cóż tam napisała?—pytał Frank.—Prze-czytaj sir.

Ale sir Algernon powstał żywo, schował notes i zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju.

— Cóż napisała przecie? Nie możesz prze-czytać? — ciągnął Frank dalej.

Brauning.

3

Percy zatrzymał się przed nim.

— Słuchaj Lohman! — rzekł. — Ona zadrwiła ze mnie! Napisała tam — nie śmieję się, słyszysz? — napisała mi: nie chwał chochlika, bo wpadniesz w bagno! Zakpiła tak, oh! to niedobrze!

— No, to nawet wcale rozumna przestroga! W pogoni za tym chochlikiem możesz wpaść tam, gdzie wcale nie jest wygodnie! W tym kraju o to nie trudno! A jak nas stamtąd wyciągną — to wiesz, kto taki, sir? żandarmi! A tutejsi żandarmi nie należą do pożądanego towarzystwa!

— Powiedziałem ci już, Frank, że kpię sobie z agentów, policji, żandarmów i kogo chcesz jeszcze! Nie popełniłem, ani popełniam żadnej zbrodni, szukając towarzystwa kobiety, która mnie interesuje!

— Którą jednak, prócz ciebie, sir, interesuje się podobno dosyć żywo policja tajna. Ona wygląda na niebezpieczną agitatorkę i musi być zacieklą rewolucjonistką!

— Tem więcej pragnę być obok niej — może być w trudnem położeniu.

— Z którego ty, sir, pragniesz ją ratować?

— Naturalnie!



— Wiesz pan co — jedź lepiej do Londynu! Ta zabawa może być bardzo romantyczną i zajmującą, ale tutaj lepiej nie uprawiać takich sportów! Co myślisz, sir? To nie jest Anglja! To inny kraj! Tutaj w zwykłych czasach człowiek się składa z trzech części: duszy, ciała i paszportu. A w takich jak obecnie, kiedy Bóg wie jeszcze co będzie, to każdy człowiek ma nadto żywego anioła - stróża! Takiego dżentelmena, który za nim snuje się wszędzie — wie, co pan jesz, co pijesz, co czytasz, do kogo piszesz, kogo znasz, u kogo bywasz — wie, czem się zajmujesz, ile masz w portmonecie pieniędzy, nawet: co myślisz robić! Taki anioł-stróż wie wszystko! i jeżeli coś mu się podejrzanem wydaje, to raz, dwa — i siedzisz pan pod kluczem! A tu łatwo zamykają, ale okropnie trudno otwierają — taki już zwyczaj. Nie widziałeś sir tych dwóch panów, którzy nieodstępnie towarzyszyli nam w powrocie z Alexandryny?

— Zdaje ci się...

— Nie. Znam się na tem dobrze. Śledzili nas napewno.

— Ach! cóż mnie to może obchodzić! nie mają żadnego powodu — bez powodu aresztować mnie przecież nie mogą!

— Oni wszystko mogą. Tu wszystko możliwe. Taki gwiźnie i ma cały patrol pod ręką!

— Pleciesz Frank albo probujesz mię straszyc!

— Nie, sir. Tylko ostrzegam przed tem, co jest zupełnie możliwe.

— Ależ tu jest nasz konsul, w Petersburgu ambasada! Istnieją międzynarodowe prawa, których gwałcić nie wolno.

— Istnieją, prawda. Istnieje konsul, ambasada, prawo międzynarodowe. Ale obok tego istnieje tutaj nahajka, Pawiak, śledztwo, cytadela, nawet — szubienica! W Rosji istnieje także Sybir, Archangielsk, Narymski kraj i wiele innych ciekawych rzeczy!

— Wszystko to być może — rzekł Percy, rozpoczynając przechadzkę. — Wierzę nawet, że widzisz to wyraźniej, boś nie dosyć się wypsal i zły być musisz teraz. Ale widzisz, kochany Franku, ja nigdy nie cofam się przed niczem i niczego się nie obawiam. Jeśli tutaj ktoś będzie ze mną szukał awantury, to ją mieć będzie.

W tej chwili zapukano do drzwi.

Wszedł służący i podał na tacy list.

— Kto to przyniósł? — zapytał Lohman.

— Posłaniec.

Sir Algernon rozerwał tymczasem kopertę i czytał wyjęty z niej mały i elegancki arkusik papieru. Twarz rozpromieniła mu się szczególnie.

— Nie będzie odpowiedzi — rzekł do Lohmana. — Proszę cię, daj posłańcowi rubla i odpraw go.

Lohman wyszedł. Gdy wrócił, Percy ubierał się w paltot. Lohman przyjrzał mu się bawczo.

— Założyłbym się, że to rewolucjonistka pisała — rzekł półgłosem. — A w korytarzu widziałem jednego z tych drabów, co pilnowali nas wczoraj.

— Zgadłeś! — zawołał Percy wesoło — posłuchaj oto, co pisze: „Przyjechałam do domu dopiero wieczorem i mile wspominam naszą znajomość i wspólną podróż. Wieczorem wybieram się na operę. Mam nadzieję, że odwiedzisz mię pan w łoży. Proszę się nie gniewać za żart w notesie. Irena.“ Patrz: ani jednego słowa zbytecznego, ani daty, żadnego dwuznacznika! Nie chciała mię w niczem narazić!

— Tak, to prawda — bardzo ucziwie z jej strony. Pójdiesz sir na operę?

— Naturalnie!

— Hm! wobec tego, że nas śledzą jednak...

— Więc co? Może im także kupić bilety do teatru? Słuchaj Frank! Proszę cię, nic mi nie perswaduj; każ zamówić dwa fotele w pierwszym rzędzie. Wieczorem kupimy kwiatów, dużo kwiatów — i każesz je odnieść do łoży. Wskażesz bileterowi w teatrze, do której. A teraz pójdziemy na śniadanie. i jeśli ktoś czepiać się nas spróbuje, to już ja go odczepię!

Lohman już nie protestował.

Wyszli razem i zjedli wyborne śniadanie w wykwintnej restauracji hotelu.

Potem oglądali w dalszym ciągu miasto. Ale wciąż snuł się za nimi jak cień szczupły młody blondyn w ciemnych okularach. Gdy wychodząc z redakcji jednego z dzienników, zobaczyli go znów, czytającego ańsze w przyzwrotnym oddaleniu, Percy stracił cierpliwość, i mimo przedstawień Lohmana, podszedł żywo ku niemu.

Ajent chciał usunąć się w tłum, zdziwiony

może i wystraszony obcesowem wystąpieniem Anglika.

Ale Percy energicznie zatrzymał go za ramię i podsunął mu pod nos swój paszport.

— Słuchaj pan: Pokazuję ci dokument legitymacyjny, żebyś wiedział, kto jestem; następnie jadę do mego konsula, żeby za jego pośrednictwem twoja władza dobrze ci uszu narlała za niezgrabność, z jaką nas śledzisz! Jesteś pan zupełnie do takiej roboty niezdatny — — oto od wczoraj wieczór widzimy cię wciąż za sobą! Czy tak postępuje detektyw?! Niedołęgi jesteście! Dlatego przestrzegam cię, mój panie, że jeśli nie znikniesz mi z oczu, porachuję ci zebra! Możecie mię śledzić, jeśli was to bawi, ale tak, abym ja tego nie widział!

Lohman musiał powtórzyć ten dobitny speech wyłękłemu i zaskoczonemu zupełnie niespodzianie policjantowi, poczem sir Algernon puścił go, i wsiadłszy w dorożkę, pojechał do konsulatu angielskiego razem z Frankiem.

— Gdy stamtąd wychodzili po godzinnej wizycie i ciekawie oglądali się wkoło, nie dostrzegli istotnie nikogo.

— A co: widzisz, że na wszystko jest sposób, kochany Franku! — rzekł Percy.

— Tak, konsul interpelował; więc teraz z pewnością pilnują nas dyskretnie.

— Znowu zaczynasz?.. Niechże pilnują zresztą! byle nam nie działali na nerwy. A teraz — do teatru!

Nie potrzebujemy dodawać, że wieczór na operze, spędzony w połowie w łoży Ireny i jej dwóch starszych towarzyszek, którym przedstawiła Percy'ego, upłynął mu nader przyjemnie. Po kolacji, wspólnie zjedzonej w Europejskim hotelu, podczas której sir Algernon dużo z Ireną rozmawiał, umówiwszy się co do dni następnych, na wyraźne żądanie Ireny towarzystwo rozeszło się w strony przeciwne. Anglicy wrócili do hotelu, odprowadziwszy damy tylko do drzwiczek karety, która na nie czekała.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Bojówka.

— Idziemy więc na zebranie? — zapytała z uśmiechem Irena Luborzycka.

— Dokąd każesz, miss — odszeł syn Albionu.—Pamiętam przecież, że pracuję dla królewskiej zapłaty. Chcę się zbliżyć do tych wazszych rewolucjonistów.

— Proszę się ubierać, podać mi okrycie i kapelusz. Ostatnia chwila. U nas spóźnić się nie wolno. Sprawy ważne na porządku dziennym.

Wyszli. Zebranie odbywało się w jednym z ustronnych domów w okolicy Placu Parysowskiego. Kiedy przybyli na miejsce, długa, ciemna, słabo ledwie rozświetlona płomykami świec z zawieszonych pajaków sala piwniczna była, zapełniona. Huczało jak w ulu od ożywionych dyskusji, prowadzonych jednak pół-



głosem, bo nie ujętych jeszcze w regulaminową formę. Zebranie nie zostało dotychczas urzędownie zagajone.

Za chwilę wszedł na prowizorycznie zbudowaną estradę towarzysz Piorunko. Miał objąć przewodnictwo. Powitano go przyciszonymi dla bezpieczeństwa oklaskami; znać jednak było, że jego pojawienie się wywołało żywy entuzjazm. Zaczął mówić, a oczy błyszczały mu ogniem, jak młodemu wilkowi. Szedł z nich zapal i udzielał się całemu otoczeniu, jak gdyby zahypnotyzowanemu. W ciszy, jaka zapanowała na sali, głos mówcy rozlegał się donośnie.

— Zebraliśmy się tutaj — mówił — nie dla zabawy, jak syte i opaste burzuje, ale poto, aby sąd sprawować nad hordą katów i tyranów.

Słyszycie! Sąd nieszczęśliwego ludu, który przejrzał i jak pierwsi chrześcijanie pragnie iść na szubienicę, jeśli tego będzie potrzeba, byle nieść wysoko sztandar idei, sztandar sprawiedliwości, sztandar zemsty!..

Mówił jeszcze długo „towarzysz“ Piorunko — coraz gwałtowniej, coraz goręcej, coraz ognistej. Zebrani bezwiednie pod wpływem jego

słów zaciskali pięści albo chwyтали za rewolwery.

Zabierali po nim głos kolejno inni „towarzysze“, przemawiała także Irena Luborzycka. Sir Algernon Percy nic nie rozumiał, ale dlatego może właśnie ze stoickim iście spokojem szkicował całą salę, bardziej charakterystyczne postacie, odkładając jedynie czasem tylko ołówek, aby spojrzeć na zaróżowioną zapalem twarz swej towarzyszki. Przestał zupełnie rysować w chwili, gdy ona mówiła. Zamienił się wtedy cały w jeden nerw wzroku, zapamiętał się formalnie w jednym zmyśle—patrzenia.

Drugi korespondent angielski Frank Lohman, zawzięcie notował charakterystyczniejsze zwroty przemówień, korzystając z umiejętności języka polskiego.

— Zebranie dzisiejsze pozostanie zatem momentem bardzo ważnym w życiu partyjnym — ciągnął jeden z mówców — ponieważ dzisiaj zapada uchwała niezaprzesławiania czynnej opozycji, przeciwnie zaś—zdwojenia energji w działaniu. Bojówka nasza od tej chwili dopiero wystąpi na widownię i pokaże, co umie. Pytam się: jaka siła oprzeć się potrafi naszej organizacji?! Nasze zuchy, nasi bohaterowie zrobią

rychło porządek. Bładzi z przerażenia siepacze błagać nas będą na kolanach o litość, a podli tchórze, którzy zawsze i ze wszystkiego są zadowoleni, przestaną tuczyć się krwawym potem robotnika.

Niedługo już wybije godzina. Straszna godzina dla wyzyskiwaczy i pasibrzuchów, godzina zwycięstwa ludu roboczego, jego wyzwolenia z okowów niewolnictwa, które zamieni się na słusznie należne berło panowania! Tak — towarzysze — godzina naszego trjumfu już bliska...

— Niech żyje wolność!!

— Niech żyje! — trzykrotnie powtórzyła okrzyk sala.

— Dość już! — odezwał się „towarzysz“ Piorko. — Pamiętajcie, że macie dzisiaj wylosować z pomiędzy siebie mścicieli. Kto spełni ten wielki czyn i wsadzi pod czerep obrzydły gorącą pigułkę z ołowiu — żandarmowi, 2-óm rewirowym i szpiclowi?! Do dzieła, towarzysze, do dzieła!!

Zaczęto czynić przygotowania. Losowanie miało się odbyć za chwilę. Twarze bojowców pałały. Każdy z nich pragnął dostąpić tego zaszczytu. Nowicjusze szczególnie garnęli się

do szeregu. Każdy z nich cieszył się na myśl, że może na niego przypadnie ten chrzest krwi, który pasuje go na rycerza organizacji, otoczy pewną powagą. Żaden z nich nie liczył się z niebezpieczeństwem, pełen lekceważenia własnego życia, pełen abnegacji pod wpływem roznamiętniających przemówień. Atmosfera stawała się coraz gorętszą, palne materiały ludzkich umysłów czekały tylko na iskrę, aby wybuchnąć. Jedną z najsilniejszych sprężyn istnienia — próżność — grała tu może, jak zwykle, przeważającą rolę. Chciano wykonać krwawe objaty jak najrychlej, więcej aby się odznaczyć i zasłużyć, niż nawet w poczuciu i świadomości potrzeby tego czynu.

— Co oni robią? — zapytał ze zwykłą flegmą sir Algernon Percy.

— Losują, kto ma zabijać policję — odrzekła półgłosem Irena.

— Niech pani powie, że ja bez lososowania jednego biorę na siebie. Mam zimną krew, której im brak, zdaje się, a strzelam doskonale. Nie chybiam nigdy. Dajcie mi najważniejszego. To moja pierwsza zasługa nie dla partji, ale dla pani.

— Ja chcę dla partji.

— Dobrze. Niech będzie dla partji.

Irena prosiła o głos.

— Towarzysz Algernon, Anglik, chce zabić własnoręcznie żandarma. Strzela wybornie. Mamy wszelką gwarancję, że zamach się powiedzie, a zanadto ważną osobistością dla nas jest skazany, zbyt krwiożerczym wrogiem ludu pracującego, aby jego losy powierzać w ręce niepewne może. Sądzę, towarzysze, że na ten raz odstąpicie od zwyczajowego załatwienia sprawy.

Odezwały się żywe protesty.

— Cicho! — zawołał „towarzysz“ Piorunko. Umilkli wszyscy w jednej chwili.

— Przedewszystkiem zapytuję towarzyszkę Irenę: kim jest towarzysz Algernon?

— Korespondentem rewolucyjnego dziennika w Londynie — kłamała bez zająknienia Luborzycka.

— Czy towarzyszka zna go dobrze i przyjmuje za niego pełną odpowiedzialność?

— Tak.

— Wobec tego nie widzę powodu przeszkadzać mu w spełnieniu czynu obowiązku. Dla was, towarzysze, pozostanie dosyć jeszcze

do roboty. Na bezczynność skarżyć się nie będziecie mieli potrzeby!

Słowa przewodniczącego znalazły posłuch. Ten i ów stłumił niezadowolenie, ale milczał. Ustąpiono obcemu najpoważniejszego łupu — tem więcej, że w gruncie rzeczy zdawano sobie sprawę ze słuszności dowodzenia Ireny, że dla takiej grubej zwierzyny trzeba rąk pewnych i wytrawnego gracza w swoim zawodzie.

Z losowaniem zresztą uporano się rychło. Ci, którym przypadły w udziale komisje do wypełnienia, z dumą patrzyli na innych kolegów, tamci zaś pocieszali się nadzieją, że i na nich przyjdzie rychło kolej.

Debatowano jeszcze chwilę nad potrzebą bojkotu wyborów do Dumy oraz nad taktyką w tym względzie. Postanowienia zapadły z dziwną jednomyślnością po mowach zawsze tych samych ludzi. Inni machinalnie prawie podnosili ręce na znak zgody przy głosowaniu.

Zebranie dobiegło swojego kresu. Poczęto się rozchodzić pojedynczo, parami, najwyżej po trzy osoby razem, w pewnych odstępach czasu, aby nie zwracać na siebie uwagi.



Irena Luborzycka opuściła salę zebrania w towarzystwie obudwu Anglików.

— Pamiętajcie zachowywać wszelkie ostrożności — przestrzegal „towarzysz“ Piorunko. — Ale nie żałować brauningów, jeżeli spostrzeżecie, że jesteście śledzeni.

Tego wieczoru nie zaszła potrzeba czynienia użytku z broni palnej. Szpicle nie wpadli na ślady tajnego zebrania robotniczego.

— Czy jesteś ze mnie zadowolona miss? — zapytał sir Algernon na ulicy.

— Dotychczas dosyć. Zobaczymy, jakim się pan okażesz przy robocie. Mam nadzieję, że mnie zawód nie spotka.

— Możesz pani być spokojną. Nigdy nie zwykłem narażać na zawód, szczególnie pięknych kobiet — odparł z uśmiechem Anglik. — Jutro żandarm żyć przestanie. Ale kiedy ja otrzymam nagrodę?

— Najpierw praca, później zapłata. Oto dewiza i podstawowa zasada naszych kapitalistycznych stosunków. Wszak prawda?

— Niewątpliwie; lecz miss Irena jesteś przecież socjalistką, więc powinnaś potępiać system kapitalistyczny.

— Tak; ale widzisz sir: socjaliści również



żądadają pracy za zapłatę, a nawet pracy intensywnej; tylko nie wyzyskują jej tak, jak zwykli burżuje.

— Czy płacą hojnie?

— Całą kiesą: tyle, ile praca warta. Pracodawca wszystkie swoje skarby oddaje chętnie robotnikowi. Nie zostawia dla siebie nic, bo w tem szafarstwie skarbów tkwi jego szczęście, jego rozkosz cała, duma i cel życia.

— A więc rozporządzaj mną miss zupełnie. Przystaję do twego obozu z niewolniczym oddaniem, i nie będziesz żałowała swojego wyboru.

— Zobaczymy.

— Jestem tego pewny, bodaj tylko przyszedł wreszcie ów dzień zapłaty. Czy przyjdzie prędko? Powiedz!

— Nie wiem. Mam jeszcze tyle do spełnienia... Nie odrywaj mnie sir od czynu i nie wprzęgaj w taczki innego życia. Widzisz—ja tak mocno ukochałam ideę, tak bardzo pragnę szczęścia nieszczęśliwego proterjatu!..

— Rozumiem to i uznaję; ale czy miłości idei, pragnieniu szczęścia dla ogółu przeszkadzać ma miłość jednostki, pragnienie jej oraz osobistego szczęścia?

Brauning.

4

— To nie, ale chcesz mię. pan koniecznie zabrać i wywieźć z Warszawy...

— Wszak socjalizm nie uznaje ciasnych granic jakiegoś kraju. Idea jest wszędzie ideą — bez względu na stopień szerokości i długości jeograficznej, a cierpienie proletarjatu wszędzie podobne, jeśli nie równe.

— Zapewne... ale u nas robota dopiero się zaczęła na dobre... U nas pole pracy odłogiem prawie leży. Ludzi uświadomionych mało... podczas gdy gdzieindziej...

— Więc starania moje mają być bezowocne?

— Tego nie powiedziałam, ani nie miałam zamiaru nawet pomyśleć — śpiesznie i kokieteryjnie odrzekła panna.

— Mogę zatem liczyć, spodziewać się i wierzyć?

— Tak! Powiem nawet więcej... Z myślą o panu zrosłam się jakoś dziwnie prędko.

— Dziękuję! i jestem szczęśliwy.

Tak rozmawiając, doszedł sir Algernon Percy w towarzystwie panny Ireny Luborzyckiej do domu, w którym mieszkała. Pożegnanie ich było bardziej serdeczne, nawet czułe, aniżeli to usprawiedliwiała niedawna znajomość, wprowadzie w dość niezwykłych warunkach za-

wiązana. Chłodnemu, ale skonsolidowanemu umysłowi Anglika wprost imponowała zapalna, ognista, entuzjastyczna natura Polki. Spotykał się po raz pierwszy z tego rodzaju istotą, posiadającą obok niezwykłych cech duchowych także wybitne i nieprzewyciężone zalety zewnętrzne.

Frank Lohman, chcąc być dyskretnym i nie przeszkadzać w poufnej rozmowie, ulotnił się zaraz prawie po wyjściu z zebrania, uczynił to zaś prawdziwie po angielsku — tak, że jego odejścia nie spostrzeżono. Fakt to zresztą zupełnie zrozumiały, bo Polka i jej towarzysz zbyt sobą byli zajęci.

Irena przy pożegnaniu odzyskała zupełnie pamięć o głównem zadaniu, jakie przeznaczyła do spełnienia Percy'emu.

— A więc jutro usłyszę o pańskim bohaterskim czynie, sir? Czy tak?

— Bezwątpienia! Możesz pani na mnie liczyć.

— Do widzenia — do jutra!

— Oby jak najrychlej nadeszło!

— Oby! — powtórzyła, mimowoli, jak echo, panna.

## ROZDZIAŁ V.

### Zamach polityczny. — Na Pawiaku.

Dnia następnego zrana, wstawszy z pościeli, Algernon Percy opatrzył brauninga, wypróbował sprawność zamku rewolweru, nabił i z zupełnym spokojem, jakgdyby miał zejść na dobre niadanie, skierował się ku drzwiom, aby się udać na spotkanie żandarma.

— Idziesz dokonywać bohaterskiego czynu błędnego rycerza? — spytał z lekkim uśmiechem Frank Lohman.

— Żart niewłaściwy. Wiesz o tem, że nic we mnie niema ani z bohatera, ani z błędnego rycerza. Idę poprostu zrobić dobry business. Zresztą dałem zobowiązanie, a dżentelmen zawsze go dotrzymuje, bez względu na następstwa, jakie to za sobą pociągnąć może.

— Nie przeczę, ale...

— Niema tutaj żadnego „ale“. Zresztą czyn, którego się podjąłem, jest wcale interesujący. Są ludzie, szukający sportu i wrażeń w Afryce...

— Życzę ci powodzenia w Warszawie.

— Dziękuję, chociaż cała nasza rozmowa jest tak banalna, jak gdybyśmy byli dziećmi.

Wyszedł, a żaden nerw nawet nie zadrgał mu w twarzy, jednakowo ciągle zimnej i poważnej. Wsiadł do dorożki, rzucając woźnicy lakonicznie: Marszałkowska 160, których to wyrazów nauczył się poprzednio wprost mechanicznie.

Jednocześnie panna Irena Luborzycka zbierała się nerwowo do wyjścia, monologując półgłosem:

— Dziwny człowiek! Nie rozumiem go zupełnie... Obojętna mu idea, jednak... Robi wszystko na zimno, a przecież chyba mię naprawdę kocha, bo inaczej... Czy ja także? Nie wiem. Dotychczas o takich rzeczach nie myślałam nigdy. Zdawało mi się śmiesznym zostanie czyjąś żoną. Teraz, od chwili, kiedy mi uczynił propozycję, nie mogę opędzić się natrętnym jakimś wrażeniom, myślom, obrazom, a zawsze on w nich pierwszy plan zajmuje. Czyżby to miała być miłość? A gdyby tak było?!

Nie, nie chcę. Nie wolno mi—wszak inne zgoła przedemną rozpościerają się horyzonty. Być żoną, matką — jakież to, nizkie i głupie! Lada gęś to samo potrafi... Ha! przecież jednak natura...

A może ja źle uczyniłam, że pozwoliłam mu na to. Czyni to dla mnie tylko. Wyraźnie mi to powiedział. Jestem samolubna, narażam go na niebezpieczeństwo. Już pewno wychodzi z hotelu, może nawet jest już na miejscu. Pójdę — zobaczę, co się z nim dzieje, jak on to wykona. A jeśli się cofnie w ostatniej chwili, jeśli mu zabraknie odwagi, jeśli tylko żartował z tego wszystkiego? Nie — to byłoby wstrętne, on do tego nie zdolny, tacy ludzie, jak on, nie żartują. Pójdę — muszę! —

Wyjęła z szuflady stolika rewolwer. Obejrzała go. Był nabity — jeden tylko nabój gdzieś wyleciał czy został kiedyś wystrzelony dla próby. Włożyła go do kieszeni sukni i wyszła. Wsiadła w dorożkę i kazała się zawieźć akże na Marszałkowską, obierając bezwiednie punkt obserwacyjny na ulicy z przeciwnej strony, po której przechadzał się Percy. Nie dostrzegła go ani w pierwszej chwili, ani też później znacznie i zaczynała wątpić, aby przyszedł czeka.



— Zwyczajny burżuj i blagier — wyrwało się dziewczynie spod zaciśniętych kurczowo zębów.

Gryzła wargi, nie wiedząc dokładnie, dlaczego to czyni. Opóźnienie wykonania wyroku, czy też zawód osobisty bolał tak bardzo Irenę?

Jeszcze chwila — spostrzegła opodal idącego przeciwległym trotuarem żandarma. Algerona ciągle jeszcze nie było. Wszak się nie myli — to tutaj miało nastąpić, tutaj, a nie gdzieindziej.

— A może Percy umyślnie wybrał inny punkt, może tak mu wypadło z jego kombinacji? — wyszeptała Luborzycka.

Za minutę, za kilkanaście, kilka już sekund żandarm przejdzie i zniknie. Mimowolnie i mimowiednie wyjęła z kieszeni rewolwer, ściskając go nerwowo w prawej dłoni, jakgdyby wyręczyć chciała Anglika, nie mogąc znieść zawodu.

Naraz z wnętrza domu wychylił się Percy i szedł zimno, jak zwykle, naprzeciw żandarma. Gdy się z nim zrównał, podniósł rękę, w której zaszarzał brauning. Rozległ się głuchy łoskot wystrzału — — żandarm bez jęku i bez jednego okrzyku padł na bruk, ugodzony kulą w serce.



Irena, jak pantera, rzuciła się w stronę, z której płynęła ciepła jeszcze, czerwona struga krwi znienawidzonego wroga. Trzymała ciągle jeszcze rewolwer w ręku. Nie spostrzegł jej Percy, który po dokonaniu czynu z nieopuszczającym go ani na chwilę spokojem odszedł miarowym krokiem, wsiadł do dwukonnej dorożki i kazał się powieźć przed siebie, szukając w myśli znajomego adresu, gdzieby się mógł zatrzymać.

Tymczasem obok zabitego zebrała się natychmiast gromada ludzi, lecz pierzchła rychło, spostrzegłszy nadbiegający patrol. Na miejscu pozostała jedynie Irena Luborzycka. Przytrzymano ją i aresztowano, odebrawszy jednocześnie rewolwer — oczywisty i nieulegający żadnej wątpliwości dowód spełnienia przestępstwa.

— Wot zbrodniarka! — zakonkludował rewirowy.

Zaprowadzono ją z początku do cyrkułu. Daremnie przy protokule zaprzeczała dziewczyna zarzucanemu jej czynowi — — odstawiono ją na Pawiak.

Otworzono kazamatę, w której siedziały ko-

biety. W małej stosunkowo izbie znajdowało się już dwadzieścia kilka „politycznych“. Irena pomnożyła ich liczbę. Powietrze tutaj było duszne i popsute, tak że wprost brakło czem oddychać.

— Udusimy się — mówiła Irena do towarzyszek niedoli.

— Oj! przyzwyczaj się pani powoli, zemdlejesz tylko raz i drugi z początku, rozboli cię głowa, dostaniesz kataru, ale to wszystko minie, a jeśli jesteś nerwowa, dostaniesz od czasu do czasu ataku histerycznego. To wszystko.

Irena smutnie opuściła głowę.

— Strasznie tutaj—szepnęła.

— U nas tu jeszcze dobrze, w innych więzieniach bywa gorzej. Dostajemy codziennie mięso, kaszę i herbatę, progulka (spacer) odbywa się na podwórzu; w Ratuszu zaś wychodzi się tylko na korytarz, dają zamiast herbaty wodę, a mięso dwa razy na tydzień.

— Gdzie sypiacie?

— Na narach. Ot, są i sienniki — dzieścić na dwadzieścia pięć osób. Królewskie spanie. Mieścimy się wszystkie na tych siennikach, podczas gdy w ratuszu śpią na ceglanej

posadzce. Bądź pani zadowolona, że cię przyprowadzono na Pawiak, a nie gdzieindziej.

— Jestem zadowolona, ale jak możecie znieść wszy? — zapytała Irena, spostrzegłszy spacerujące po sienniku owady.

— Wszystko znieść trzeba, jeśli niema innej rady.

— Za co panią aresztowano? — zapytała z kolei druga towarzyszka.

— Posądzają mię o zabicie żandarma.

— Czyś to istotnie zrobiła?

— Nie.

Przerwano na chwilę rozmowę, bo przy drzwiach dał się słyszeć głos dozorca, wywołującego nazwiska aresztantek, które miały pójść na „badanie“.

Skorzystała z tego jedna z towarzyszek Ire-ny i szepnęła jej do ucha:

— Nie wdawaj się pani w rozmowy z nieznajomymi: mogą być szpiegami.

— Słyszałam, że tak bywa, lecz to chyba nieliczne wyjątki.

— Nietak nieliczne, jakby się zdawało. Obecnie system badania wytwarza szpiegów.

— Jak to pani rozumie?

— Zupełnie jasno. Władze nakłaniają ba-

danych, aby wstępowali w szeregi tajnych agentów, darowując im za to winy i nagradzając hojnie zasługi.

Rozmowa się przerwała. Nadchodził wieczór. Kazamata wysyłała listy do miasta drogą tajną, znaną tylko wtajemniczonym. Zdołała także Irena list wysłać do „towarzysza“ Piorunka. Na odpowiedź nie wyglądała zbyt długo, a była ona tego rodzaju, że przeszła najśmielsze jej oczekiwania.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Postanowienie Anglika.

Była godzina prawie już czwarta, kiedy Percy stanął u siebie w hotelu. Z uczuciem ulgi dowiedział się, że niema na górze Lohmana, i zmęczony położył się na kanapie.

Czyn, jaki przed paru godzinami spełnił, wyczerpał go i wprowadził w pewien chwilowy stan prostracji myśli. Bądź co bądź zastrzelił człowieka, którego przed tem nigdy nie widział. Zastrzelił go z rozmysłem i premedytacją, tak jak nieraz w życiu strzelał do jelenia, na którego czekał długo zaczyjony w ieszonym ostępie. Ale wówczas uczuwał naturalną przyjemność łowcy, a dziś osiadł mu w głębi duszy jakiś wstręt. Sir Algernon zastanawiał się przed przyjęciem na siebie obowiązku mściciela krótko, ale dokładnie. Wierzył zupełnie

ludziom, którzy powiedzieli mu, że tego żandarma trzeba usunąć, bo zawadza, że trzeba go zabić, bo szkodzi i żywy zawsze szkodzić im będzie.

Wierzył, że wykonanie tego wyroku partji rewolucyjnej jest jednym z mnogich posunięć naprzód sprawy wolności — a że trzeba posuwać się po szachownicy krwawej, rozumiał dobrze, patrząc na stosunki, słysząc wciąż i czytając o przelomowym ścieraniu się dwóch walczących fal; wreszcie wiedział, że są to nieuchronne rzeczy w boju światła z ciemnością — dążącego do wolności ludu z gnębiącym go rządem.

Ale mimo wszystkich tych czynników perswazji i bezstronnego rozumowania — czuł jakiś wstręt.

Był przecież kontent z siebie. Spełnił obietnicę — wykonał wyrok partji — zbliżył się tem samem do niej i do kobiety, którą teraz kochał głęboko.

Zadowolenie z dotrzymania słowa kłóciło się w nim z tym mimowolnym wstrętem; potrzebował wrócić do równowagi.

W pierwszej chwili po strzale, gdy w oczach jego, z dymem prawie, upadł żandarm na chod-

nik, nie widział nic więcej. Instykt zachowawczy skierował go w boczną ulicę, gdzie wsiadł w dorożkę i kazał jechać do znajomej restauracji, której adres pamiętał. Przywykły do panowania nad sobą i spokojnej obojętnej równowagi zewnętrznej, nie potrzebował sobie zadawać przymusu. Z podanego obiadu jadł bardzo niewiele, ale przeciągał go, opóźniając chwilę spotkania się z Lohmanem.

O pościg i swoją osobę był zupełnie spokojny.

Domyślał się, że nikt nie będzie podejrzewał o morderstwo polityczne na ulicy obcego poddanego, bawiącego po raz pierwszy w życiu od kilkunastu dni zaledwie w Warszawie, znanego korespondenta pism angielskich.

Tam — na Marszałkowskiej — w onym momencie — mogli go byli złapać.

Ale przeszedł w tłumie cisnącym się do trupa żandarma spokojny i wykwintny, odsunął wszelkie mogące powstać podejrzenia wyglądem i obojętnością. ●

Naturalnie w chwilę potem aresztowano i rewidowano przechodniów — otoczono strażą miejsce wypadku — może zatrzymano kilka podejrzanych a niewinnych osób! Cóż go to mogło



obchodzić? On -- wymknął się. A tamtych potrzymają i puszczą. Niema przecież dowodu.

Spełnił wyrok.

Myśli te krążyły mu po głowie, kręcąc się koncentrycznie około niesformułowanego pewnika, że „ona“ dowie się, jak dotrzymał słowa, i że będzie zeń rada.

Pod drzwiami ktoś głośno zaczął rozmawiać, ktoś zapukał i poruszył klamką.

Wszedł Lohman.

Spojrzał i śpiesznie podszedł do kanapy, na której leżał Percy.

— Słuchaj! — rzekł przyciszonym głosem.— Przed paru godzinami zabito na Marszałkowskiej żandarma — byłem w redakcji jednego z tutejszych dzienników, gdy o tem zatelefonowano — nie uwierzysz, co się ze mną działo, gdy o tem posłyszałem! Z całym szacunkiem dla ciebie, sir, uważam cię jednak za mocno narwanego człowieka — — po tej rozmowie ranej myślałem naprawdę... a! czego ja tam nie przemyślałem! Ale widzę cię spokojnego, trochę zaspanego, czekającego na mnie, i śmieję się teraz z siebie, żeś tak mię zdołał nastraszyć!

nie mam powodu obawiać się wykrycia, że to to ja wszystko zrobiłem.

Lohman z desperacją wziął się za głowę i zaczął chodzić po pokoju.

— Mówię ci: uspokój się, Franku—ciągnął Percy. — Widzisz, skoro nie ujęto mnie dotąd, znaczy, że nie mają pojęcia o tem, kto był sprawcą zamachu. A nikomu, ręczę ci, nie przyjdzie do głowy podejrzewać o to — mnie. Wyjechać nie mogę. Nie dlatego popelnilem ten czyn, żeby teraz uciekać. Przecież tu są wieczorne dzienniki, więc poślij po nie i dowiesz się, co się stało.

Lohman zadzwonił.

— Proszę przynieść „Kurjera Warszawskiego“—zadysponował lokajowi. Za chwilę rozkładał dziennik, szukając opisu zamachu.

— Jest!—zawołał, znalazłszy, i począł czytać półgłosem. Naraz ręka mu zadrżała i zbladł.

— Cóż tam? co ci jest?—zapytał Percy, dostrzegłszy zmieszanie towarzysza.

Ale Lohman usiadł na fotelu i milczał zakłopotany.

— Odpowiedz Frank Co wyczytałeś?

— Złapano... ją!

— Ją?!! kogo?!! kogo złapano, Frank?!!—za-

wołał Percy szeptem, chwytając Lohmana obu rękoma za ramiona.

— Ja!.. miss Irene!!

— Zwarzowałaś! Skądże ona tam? Nie było jej nigdzie! Chyba w mieszkaniu?

— Nie! na ulicy, przy trupie. Słuchaj, co pisze ten dziennik.

To mówiąc, tłumaczył na angielski.

„W chwili, kiedy nadbiegł na miejsce strzału najbliższy patrol, o dwa kroki od stygnącego już ciała żandarma stała jakaś młoda, elegancko ubrana dama, przypatrująca się zwłokom z jakąś zaciętą radością. Zapytana przez policję, co robi w tem miejscu, zmieszala się dziwnie. Aresztowano ją. Dopelniona natychmiast rewizja wykryła w wykwintnym futrzanym zarękawku brauning. W magazynie pistoletu brak było jednego, snąc świeżo wystrzelonego, naboju...

Domniemana zabójczyni pułkownika M. nie przyznała się jednak do popełnionego czynu. Twierdzi, że nie strzelała wcale, i że rewolwer odnosiła do jednego z krewnych, który ma pozwolenie na broń. Do zwłok pułkownika podeszła przez ciekawość. Tajemnicza dama nazywa się Irena Luborzycka, utrzymuje się

z własnych funduszów i mieszka przy ulicy Szopena pod numerem 42. Odstawiono ją na Pawiak.“

Lohman skończył czytać i spojrzał na Percy'ego.

Sir Algernon stał, jak skamieniały. Twarz jego zmieniła się, i rysy zmętniały. Oczy szeroko otwarte tlały jak gorące żarzewie.

Stał tak długą chwilę. Pod czaszką prze-walała mu się tymczasem galopada myśli i wilo się robastwo bolesnej, dojmującej troski. Lohman szanował ten ból. Widział teraz dopiero, że zajęcie się jego towarzysza tą piękną Polką było uczuciem silnem, że opanowało Percy'ego zupełnie.

Nareszcie sir Algernon ruszył się z miejsca. Podeszedł do biurka i zaczął porządkować przy niem swoje podróżne papiery. Milczenie trwało wciąż. Po chwili Percy odłożył kilka listów, część papierów zawinał w ceratę i obciągnął gumową przepaską, wyjął z biurka portfel i włożył go do kieszeni.

— Te listy wyekspedujesz, Franku, podług adresów. Paczkę z papierami prześlesz do redakcji „Daily Mail“ i napiszesz im o tem, co mnie spotkało. Tu w tej kopercie są pieniądze.

Po mojem wyjściu zadzwonisz o rachunek i rozplacisz się w mojem zastępstwie.

— Wychodzisz więc?.. Wyjeżdżasz?

Percy potrząsnął głową.

— Nie wyjeżdżam, Franku. Ale musimy się rozstać. Wychodzę, by udać się do policji i oświadczyć tam, że Irena jest niewinną, gdyż żandarma ja zabiłem.

Lohman skoczył jak oparzony.

— Sir Algernonie! chcesz to uczynić?!

— Przecież to mój prosty obowiązek. Nie mogę dopuścić, aby ona za mnie cierpiała.

Lohman zdesperowany zaczął biegać po pokoju.

— Tak, ani słowa! Wspaniała historia! Aaa! żeby to wszystkie pioruny zatrzaśły! — mrucał. — Poco ja mu to powiedziałem! Może byłby wyjechał...

— Franku! przestań biegać, proszę cię — rzekł Percy; głos jego był zupełnie spokojny. — Mam ci jeszcze powiedzieć coś, posłuchaj mię więc. Nie mamy wiele czasu.

Frank usiadł.

— W policji naturalnie zaaresztują mnie. Później zapewne stanę przed sądem i zostanę skazany. Los wyplatał mi figła. Nie przypuszczałem, żeby ona tam poszła. Ale pognęła ją

ciekawość zapewne. Nie mogę przecież nic innego zrobić, jak tylko ratować ją, a sposób jest tylko jeden: ten właśnie, jakiego postanowiłem użyć. Kocham tę kobietę i żałuję, że już nie zobaczę jej pewnie nigdy. Ale ostatecznie mogli mnie schwytać na miejscu w momencie czynu. Ryzykowałem i przegrałem — — trzeba zapłacić. To jasne, i nie o to zresztą już chodzi. Interesy moje w porządku, prócz jednej sprawy. Tę właśnie pragnę ci zlecić w mojem zastępstwie. Majątek mój cały zdeponowany jest w Union-Smith's-Bank w Londynie, a u notariusza tegoż banku mr. Waddingtona na Bulington-Street nr. 126 leży odnośne rozporządzenie. Gotówką, jaką mam przy sobie, podzielimy się, Franku. Póki nie zapadnie wyrok mój, mogę potrzebować pieniędzy, dlatego biorę z sobą 600 funtów, a pozostawiam ci resztę. Nie wypełniłem jednak przyjętego na siebie zobowiązania względem „Daily Mail“, i w tem mnie musisz zastąpić. W kopercie tej oto masz moje notatki i instrukcje. Dopełń je i wyślij do Londynu. Znajdziesz tam także przekaz na honorarjum, jakie ci się słusznie za to należy. Nadto — jeszcze jedno, najważniejszy komis. Skoro miss Irena odzyska wolność,



udasz się do niej i oddasz jej list, jaki ci pozostawię, oraz przekaz na 1000 funtów, który ci teraz oddaję. Oto jest. Jeżeli te pieniądze jej niepotrzebne, będzie już wiedziała, co z nimi zrobić. Teraz napiszę list, a za godzinę się pożegnamy. Proszę cię, zadzwoń, żeby podali herbatę.

To rzekłszy, przeszedł do biurka i zabrał się do pisania.

W pokoju zapanowała cisza, którą przeważał tylko służący, przynosząc żadaną herbatę. Percy zażądał jeszcze coś do niej i pisał szybko. Lohman był bardzo strapiony. Rozumiał doskonale, że nie można było nawet próbować odwodzić Percy'ego od jego zamiaru. Znał go nie od dzisiaj. Ale myślał, coby wykombinować takiego, aby następstwa tego kroku złagodzić ile możności.

Nareszcie po półgodzinie Percy odłożył pióro, zapieczętował list i zaczął pić spokojnie herbatę.

— Sir Percy! — zaczął Frank. — Nie wiem, jak pan porozumiesz się z policją: nie mówisz innym językiem, prócz angielskiego.

— Pojadę do konsulatu, tam opowiem całą historję i zażadam, by konsul mi towarzyszył.



On zeznanie moje powtórzy po rosyjsku, a potem bądź spokojny, znajdą dla mnie tłumacza.

— Bo możeby im poprostu powiedzieć, że ten żandarm zaczepił cię, obraził... Przecież on i tak nie żyje już i nic nie powie — niema przecież potrzeby przyznawać się do awantury politycznej, do zabójstwa z premedytacją.

— Czy przypuszczasz, że o motywy nie zapytają mię wcale?

— Właśnie dlatego.

— A więc wnosisz, że umiem kłamać? Mylisz się, Franku. Przekro mi, żeś mógł tak o mnie pomyśleć.

— Ależ, sir! Twoja prawdomówność będzie zupełnie zbytecznym heroizmem! Zastanów się!

— To już zrobione. Nie umiem kłamać.

Sir Algernon postawił filiżankę i wyjął zegarek.

— Wpół do ósmej — rzekł. — Czas iść.

Ubrał się spokojnie i podał Lohmanowi list zapieczętowany.

— Liczę na ciebie, że wypełnisz moją prośbę, choćby ci to przyszło z trudnością. Po mojem wyjściu zapłać im i nie siedź tutaj. No, żegnaj Frank, i dziękuję ci!

Podał mu obie ręce. Uścisnęli się mocno, przeciągle. Lohmanowi zabłyśły w oczach łzy.

Percy zapalił cygaro, i włożywszy w oko szybkim ruchem monokl, skinął jeszcze towarzyszowi głową, uśmiechnął się i wyszedł.

Lohman rzucił się na otomanę, wciskając głowę w poduszki, by się powstrzymać od płaczu, który go chwycił za gardło.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Wykradzenie z Pawiaka.

Percy wyszedł tymczasem swym równym, spokojnym krokiem z hotelu i dochodził właśnie do dorożki, chcąc się kazać wieźć do konsulatu, gdy przystąpił doń elegancko ubrany mężczyzna z prośbą o ogień. Podał mu zarząca się cygaro.

— Wsiadłszy do dorożki, przeczytaj pan zaraz tę kartkę! — rzekł nieznajomy czystą angielszczyzną, wsuwając mu w rękę mikroskopijny zwitek papieru. — Dziękuję! — dodał głośno, uchylając kapelusza, i zapaliwszy papieros, zwolna poszedł dalej.

Sir Algernon zdziwiony wsiadł i powiedział woźnicy adres. Dorożka się potoczyła. Rozwinął podaną kartkę i chciał przeczytać. Ale latarnie migotały tak, że musiał kazać przysta-

nać, i pochyliwszy się, począł decyfrować biletik.

Był pisany również po angielsku i zawierał te słowa:

„Proszę być o dziewiątej w kawiarni Udziałowej. Odbierzesz tam pan ważne wiadomości. Pamiętaj się niczemu nie dziwić. Kartkę tę podrzyj i zniszcz. Przyjaciele Ireny.”

Percy się wyprostował.

— Przyjaciele Ireny! — myślał — a zatem to będzie wiadomość o niej! Pojadę do kawiarni: zobaczymy, czego się dowiem; w każdym razie te dwie godziny zwłoki wolno mi sobie wziąć.

Tracił stangreta i rzekł mu:

— Kafe Udziałowa — kafiarnia?

Dorożkarz skinął głową. Ruszyli.

W kawiarni pierwszą rzeczą, którą uczynił Percy, było sprawdzić godzinę. Dopiero minęła ósma. Kazał sobie podać herbaty, dzienniki angielskie i począł czytać.

Ale mimo zwykłego spokoju i ogromnej nad nerwami władzy, nie mógł jednak opanować niecierpliwości.

Przejrzał ilustracje i po raz trzeci brał do ręki ogromną plachtę „Times'a”, gdy obok niego

usiadł jakiś młody człowiek o kruczo czarnych bujnych włosach i takiej samej brodzie, i zadysonowawszy kawę dla siebie, zapytał go, czy może wziąć leżący przed Percy'm na stoliku „Standard”.

Sir Algernon nie zrozumiał pytania. Młody człowiek, uśmiechnąwszy się, powtórzył je po angielsku.

Zaczęli obaj czytać.

Około wpół do dziesiątej czoło Algernona, śledzącego co chwila wskazówki kawiarnianego zegara, okryło się chmurą. Wyjął z kieszeni chronometr, by sprawdzić, czy rzeczywiście opóźniają się oczekiwane wiadomości.

Młody jego sąsiad nachylił się doń w tej chwili z dziennikiem i rzekł z uśmiechem:

— Czy czytał pan ten artykuł o stosunkach warszawskich? — to mówiąc, pokazywał mu palcem coś na szpaltach gazety.

Percy spojrział z pewnem niecierpliwem roz-targnieniem na wskazane miejsce. Zpod palca nieznajomego wysuwał się wązki skrawek papieru.

„Nie rób zdziwionej miny. Za pięć minut wyjdź z kawiarni i wsiądź w karete, która stoi na przeciwległym rogu. Nic nie mów i jedź,

gdzie cię powiozą. Zaraz się złączymy. To dla niej“—przeczytał Percy.

— Tak, to bardzo zajmujący artykuł — rzekł głośno. — Szkoda, że nie mogę go przeczytać całego, ale muszę już iść.

Zapłacił, i skinąwszy lekko głową, opuścił kawiarnię.

Na przeciwległym rogu istotnie czekała kareta. Percy podszedł do niej i wsiadł. Stangret ruszył zaraz wolno.

Jechali przez ulice, wśród których Percy nie mógł i nie próbował nawet się orjentować. Po kilkunastu minutach stanęli. Drzwiczki otwarły się nagle i do środka wskoczył ów młody sąsiad Percy'ego z kawiarni. Powóz ruszył dalej.

— Ręczę, że nie domyślisz się pan, dokąd jedziemy? — rzekł przybysz.

— Czekam objaśnienia i przyrzeczonych wiadomości — odparł Percy.

— Będziesz pan miał jedno i drugie. Zaraz, tylko zmienię tualetę.

To mówiąc, zdjął szybko czarną perukę, oderwał czarne wąsy i brodę i schował je z ręcznie w jednej z kieszeni powozu. Na Algernona patrzyła teraz młoda i świeża

twarz o dziwnie ujmującym i otwartym wyrazie, posypana na wargach lekkim, jasnym, wykluwającym się dopiero co wąsikiem.

— Jedziemy, kochany panie, na spotkanie panny Ireny — rzekł młody człowiek, z uśmiechem patrząc w oczy Percy'emu.

— Na spotkanie?! gdzież ona jest?

— W tej chwili jeszcze w swojej celi — na tak zwanym „Pawiaku“. Pan nie zna tego hotelu? Bardzo wygodny. Ale mocno przepełniony, właśnie i towarzyszcze Irenie wymówiono pokój. Jutro musiałyby biedaczka jechać do cytadeli, a to niewygodnie przeprowadzać się ciągle. Więc postaliśmy do niej kogoś—pewnego oficera żandarmerji — z zapytaniem, czyby nie wolala jechać na Riwierę? Jestem pewny, że się zgodzi. A że w drodze potrzebna jej opieka, więc pomyśleliśmy o panu. Należy ci się to, kochany sir, w nagrodę za twoją celność.

Percy słuchał, nic nie rozumiejąc. Patrzył na swego towarzysza, jak na warjata.

Ale młody człowiek wnet począł mu opowiadać szczegółowo plan—wyswodzenia Ireny. Nie uprzedzajmy jednak faktów. Anglik uspokoił się zupełnie. Dojechali razem do rogu Długiej ulicy. Tam wysiadł młody „towarzysz“, a karetka,



potoczywszy się dalej, stanęła przed bramą jednego z dużych, eleganckich domów.

. . . . .  
. . . . .

Tymczasem więźniowie polityczni na Pawiaku zasypiali już w najlepsze. W kazamacie, w której pomieszczono Irenę Luborzycką, ona jedna tylko nie mogła zmrużyć jeszcze oka. Nie myślała o swoim uwięzieniu. Myślała o śledztwie i zbierała do niego siły. Znała już z doświadczenia przeróżne systemy indagacji i te specjalne, które do więźniów politycznych stosowane bywają, że teraz z pewnem drżeniem myślała o oczekujących ją próbach.

Czuła się niewinną zabójstwa, o które ją oskarżano, ale nazwisko jej i osoba były dobrze znane policji. Za ledwie pół roku temu opuściła cytadelę po dwumiesięcznym aresztowaniu i śledztwie. Wypuszczono ją, nie znalazłszy wyraźnych dowodów, ale podejrzewano o należenie do „partji“. Kazano jej opuścić kraj. Miała tu pobyt wzbroniony. Teraz przypomniała jej to napewno.

W drzwiach zgrzytnął nagle klucz. Odemknięto zwolna, pocichu. Wszedł dozorca z latarką, za nim żandarm.

Podeszli do Ireny.

— Pożałujcie za mnoju — rzekł żandarm.

— Aha! — pomyślała — nocne śledztwo! Zaczyna się...

Zebrała się, wdziała żakiet, i poszli.

Prowadzono ją przez kilka korytarzy do kancelarji.

W gabinecie oddzielnym oczekiwał na nią oficer żandarmerji. Przy drzwiach stał wachmistrz siwy. Gdy weszła, oficer zaprosił ją skinieniem, by usiadła, poczem odprawił dozorcę. Drugi żandarm został na korytarzu.

Oficer siadł za stołem i spojrzał na młodą dziewczynę.

— Nie mów pani ani słowa — rzekł po cichu. — Jeżeli krzykniesz, wszystko stracone.

Położył palec na ustach i zaczął mówić głośno po rosyjsku.

W Irenie na mgnienie oka zamarło wszystko — — zatrzymała oddech w piersiach.

W mózg padła jej błyskawica.

— Co to? Kto to jest? mówi po polsku? Czyżby to był ratunek? Boże, Boże, Boże — myślała, zbierając myśli.

Ale oficer dostrzegł w jej oczach wyraz zdziwienia. Nachylił się szybko.

— Spokoju! Panuj pani nad sobą— —inaczej źle będzie!

Jej pomału poczęła wracać przytomność i siła.

— Fjedor! Pazwij żandarma! — zawołał oficer w tej chwili.

Wachmistrz uchylił drzwi i zawołał towarzysza swego.

Oficer wstał, i biorąc jakiś papier do ręki, skinął na niego, by się przybliżył. Podszedł do niego tuż, tuż, i pociągając go w kąt, zaczął mówić:

— Pojdiesz tiepier w ochranu. Wazmiesz etu bumagu—widisz? praczti!

Żandarm nachylił się nad papierem.

W tej chwili jednak muskularne, żyłaste ramiona oficera chwyciły go za gardło. Dłonią zasłonił mu usta. Wachmistrz skoczył do nich jak tygrys i wpakował mu w gębę przygotowaną chustkę. Ale żandarm się szarpnął. Oficer z wachmistrzem przewrócili go szybko na ziemię, poczem podsunęli mu gąbkę z chloroformem pod nos. Chwilę jeszcze żandarm szamotał się z nimi, usiłując krzyknąć. Po paru minutach uspokoił się, począł tracić przytomność.

Wachmistrz począł go żywo rozbierać.

— Teraz na nas kolej — szepnął oficer, powtając ziemi. — Kładź pani buty, szynel, rewolwer, szaszkę i czapkę. Prędko.

Irena patrzyła na nich szeroko otwartemi oczyma.

Zrozumiała w lot wszystko. Oficer i wachmistrz—to jej wybawcy.

Poczęła się ubierać. Za pięć minut w gabinecie stał znowu żandarm w butach z ostrogami, w szynelu i przy pałaszu. Tylko twarz jego dziwnie świeżą i piękną była.

Wachmistrz założył jej duże blond wąsy.

— No! teraz wyjdziemy! — rzekł oficer.

— A on? — rzekł wachmistrz.

— On poleży sobie. Byle tylko na korytarzu dobrze nam poszło!

Skierowali się ku drzwiom oficer z Ireną. Wachmistrz został.

Na korytarzu oficer zawołał dozorcę.

— Arestantka tam piszet jeszcze swojo doznanje. Żandarm tam ostałsia. Kagda okonczyt, żandarm jejo prowadiot! Idi tiepier na wierch i oddaj pod 47 nomier etu bumagu, politiczeskomu Josifu Miłkowskiemu.

Dozorca zasalutował i odszedł. Gdy zniknęli drzwi od kancelarji się otwarły, i wysunął się wachmistrz.

— Do bramy! — skomenderował oficer.

Poszli spokojnie. Na podwórzu dozorczy salutowali. W bramie na widok żandarmskich mundurów straż czemprowadzej otwarła furtkę.

Wyszędłszy na ulicę, przeszli na drugą stronę zniknęli w ciemnościach.

. . . . .  
. . . . .

O godzinie wpół do dwunastej do karety, w której na ulicy Długiej oczekiwał Percy, zbliżał się elastycznym, szybkim krokiem młody człowiek. Chód jego był dziwnie lekki i zwinny, spod miękkiego kapelusza świeciło dwoje bystrych czarnych oczu, w ręku niósł laseczkę, w ustach trzymał zapalonego papierosa.

Zrównawszy się z kareta, młodzieniec przyjrzał się jej bacznie, spojrzął na woźnicę, i dojrawszy nieznaczny ruch, który ten prawą ręką uczynił, żywo otworzył drzwiczki i wskoczył do środka.

— For ever England! — zawołał, zamykając za sobą.

Kareta ruszyła wyciągniętym kłusem w stronę dworca wiedeńskiej kolei.

— Czy poznajesz mię, odważny sir Algernonie? — zapytał donośny głos, pod którego wpływem Percy zadrżał, jakby uderzony prądem elektrycznym.

— To ty, miss?! — szepnął, chwytając rękę swego towarzysza.

— Ja... ale sza! Jestem chłopcem i nazywam się Tom Warney, poddany jego królewskiej mości Edwarda VII.

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że mam paszport na takie nazwisko, zupełnie formalnie wydany, i że za jego pomocą w tem przebraniu i twojem towarzystwie zamysłam opuścić na czas pewien Warszawę i pojechać—choćby do Londynu. Za dwadzieścia minut odchodzi kurjer na Berlin: proponowałeś mi to przecież niedawno, sir? Pojedziemy więc razem. Byłżebyś nierad teraz?

Ale Percy nie mógł odpowiedzi wykrztusić.

Drżąc, tulił do ust małe, ciepłe rączki, które nie broniły mu tej pieszczety.

Niewszystkie jednak niebezpieczeństwa by-

ły już poza nimi. Czekąca jeszcze przeprawa przez dworzec kolejowy i przez granicę.

Piękna Polka i energiczny Anglik minęli jednak prawdopodobnie bez wypadku i te przeszkody, gdyż na drugi dzień Frank Lohman otrzymał depeszę tej treści:

„Ja i moja przyszła żona czekamy cię w Wiedniu, hotel Imperial. Przybywaj natychmiast. Algernon.”

W miesiąc później na szpaltach poczytnego angielskiego pisma „Daily Mirror“ ukazała się sensacyjna powieść, osnuta na wypadkach i stosunkach warszawskich. Nosila tytuł — „Brauning“.

KONIEC.



## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Anglik w Fisharmonji i zemdlona dama czyli pierwszy wiec w Warszawie . . .	3
II. „Czort woźmi—uszła!..“ . . . . .	15
III. Policjant w matni . . . . .	31
IV. Bojówka. . . . .	40
V. Zamach polityczny.—Na Pawiaku . . .	52
VI. Postanowienie Anglika . . . . .	60
VII. Wykradzenie z Pawiaka. . . . .	84

---

WYDZIAŁ FIZYKI  
KATEDRA FIZYKI  
UL. WILKOŃSKA 10  
50-371 WROCLAW  
TEL. 71 35 42 400



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

**ul. Nowy Świat Nr 72**

**00-330 Warszawa**

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**







F

1907